

Kronika tygodniowa.

I stało się, co się stać miało!

Szając tradycję, biorę corocznie czynny udział w lanu wosku w przeddzień uroczystości świętego Andrzeja, pomagając mej pocztowej Weronice, która jest święcie przekonana, że to, co się wtedy „uleje“, musi się sprawdzić, jak nie zaraz, to później. Pod tym względem ma ona nader bojną wyobraźnię, potrafi tak pięknie objaśnić i wytłumaczyć kształty wylanego wosku, że wzmówi w każdego co się jej podoba. Słuchając jej wywodów, przysięgałbyś, że jest tak, a nie inaczej. Zresztą posłuszeństwo domowe wymaga, aby ona miała rację.

Ulało mi się coś, co wyglądało jak obwarzanek, ona twierdziła natomiast, że to wieniec laurowy, co jest niechybnym znakiem, że czeka mnie sława, jeśli nie za życia, to bodaj po śmierci. Ja byłem natomiast zdania, że to wieniec cierniowy, symbol tych wszystkich przyjemności, jakich les nie szczędzi człowiekowi w domu i poza domem. Spróbowałem jeszcze po raz drugi i odlałem coś, co wyglądało zupełnie tak, jak figa.

I nie spodziewałem się nawet, iż się ta wróżba spełni tak szybko. Minął zaledwie tydzień, a święty Mikołaj przyniósł mi... figę, choć święcie byłem przekonany, że tego roku chyba o mnie nie zapomni i nagrodi cierpliwość, z jaką na jego odwiedzin od lat kilku oczekuję.

Obudziwszy się w dniu 6. grudnia o godzinie siódmej rano według czasu letniego, ślęgam pod poduszkę... nie!... zaglądam pod łóżko... nie, oprócz przedmiotów, które się tam zwykle znajdują. Jasny dowód, zaobserwowany wśród ciemności, gdyż słońce nie wylazło jeszcze z poza kominu, że św. Mikołaj i w tym roku o mnie zapomniał. Zrezygnowany przewróciłem się na drugi bok, aby doczekać się wstępu słońca, ale uznającego warszawskiej rachuby czasu. A wstając potem około ósmej, powiedziałem sobie, że na świecie nie ma sprawiedliwości, jeśli bowiem temu, to mnie nalażał się jakiś, choćby mały prezencik.

Ale tuż wieniec św. Andrzeja, raczej zaś ów wosk, z którego ułała się figa.

Nie pierwszy to zresztą zawód w mem życiu i mam nadzieję, że nie ostatni.

Tyle rany spodziewałem się, że zostanę laurentem fundacji Nobla, wszystko mi jedno z którego dnia, byle z gotówką, a tu ani rusz. A zdawało się ta sumka, zwłaszcza w obecnych czasach, gdy sytuacja poprawia się z dnia na dzień, ale... z pleca na łeb. Za owe sta kilkadziesiąt tysięcy, jakie szczęśliwy laurent dostaje, można byłoby oporządzić się jako tako, kupić sobie paltot, ubranie, trzewiki, a może nawet i kapelusz, a prowadzić kilka cetnarów węgla i bodaj ze dwa korce ziemniaków, Weronice dać na nowy kostium i drobne wydatki, a może zostałoby i na jaką przyjemność, np. na podróż na południe, to jest tramwajem na Podgórze i z powrotem.

„Ruliem, marzyłem, cześć mary gonilem — wiatr rozwiał sny złote przedemną...” powtarzam z poetą i powiadam sobie, że kto się do torby zładowskiej, tak jak ja, urodził, ten się kufarka nigdy nie dorobi.

Byłbym już zrezygnował z owego złotego medalu, który każdemu laurentowi ma być pono odbity na odwrotnej stronie, a byłbym się zadowolili ową gotówką.

Niestety, spaliło na panewce. Nie poznali się na mnie obcy, sądziłem, że bodaj swoi oddadzą hołd cichej a prawdziwej zasłudze, to jest, że krakowska Akademia Umiejętności przyznając w tym roku nagrodę z fundacji Jerzmanowskich, nie zapomni o mnie.

Osterdzieć tysięcy koron austriackich to wprawdzie nie tak wiele, ale zawsze przecież coś. Za te pieniądze można będzie bodaj pójść... do *Bagateli* i rozradawać swą duszę, nie mogąc rozweselić ciała. *Kurjerek* z takim entuzjazmem wyraża się o artystach, że mimowoli bierze człowieka ochota, aby się przekonać na własne swoje oczy, jak oni wyglądają. Zwłaszcza Weronika była bardzo ciekawa, ale udało mi się wyperswadować jej, że ciekawość to pierwszy stopień do piekła, a ja jej życzę królestwa niebieskiego.

I ta nadzieja zawiodła. Nagrodę z fundacji Jerzmanowskich przyznano panu Paderewskiemu.

Zawód więc za zawodem, czyli, że owa „Andrzejowska“ figa sprawdziła się w zupełności.

W międzyczasie rozleciał się gabinet warszawski, a codzienne pisma donosiły, że nowy złożony będzie z najzdolniejszych i najbardziej fachowych es. bników.

— Jeśli nie teraz, to już nigdy!... — powiedziałem sobie i czekałem, rychło z Warszawy nadejdzie zaproszenie, bym objął którąś z tek.

Czekałem jednak дармnie. Do dnia dzisiejszego nikt się o mnie nie spytał. Być może, że nominacja nadejdzie jeszcze, ale wtedy ja powiem, że nie mam

już ochoty pracować dla społeczeństwa, które nie umie ocenić prawdziwych zasług. Nie jest wprawdzie wykluczeniem, że po śmierci doczekam się pomnika, tak jak ś. p. Mickiewicz (Kościuszko nie może tego o sobie powiedzieć!), ale cóż mi z tego. Co najwyżej będę mieć z tego frajdę gołębie i towarzysze z pod „Czerwonego sztandaru“. Dla pierwszych jest to punkt obszarowy, skąd patrzą na to, co się dzieje na świecie (choć czasem zachowują się niezupełnie poprawnie!), dla drugich mównica, z której wygłaszają bardzo piękne teorie, mające świat pchnąć na zupełnie nowe tory.

Kraków nie ma jednak szczęścia do komitetów pomnikowych. Obawiam się, że i z mym pomnikiem mogłoby być to samo co z pomnikiem Mickiewicza, który długo czas czekał na „przychylnie uznanie“ znawców, lub Kościuszki, przeznaczonym do ozdoby podwórza w koszarach miejskiej Straży pożarnej.

Mamy u siebie zbyt wielu znawców sztuki i miłośników Krakowa, nie też dziwnego, że co jednemu się podoba, drugi pod względem estetycznym i historycznym uważa za obrazę boską.

Mają się o mnie kłócić po mej śmierci, wolę za życia zrezygnować z tego zaszczepu.

I ja należę też do miłośników przeszłości Krakowa, wobec czego uważam za profanację dawnych tradycji artykuł p. Hosiaka w *Kurjerku*. Autor żąda, aby były austriacki odwach (dziś, jeżeli się nie mylę, dyrektora c. k. budownictwa galicyjskiego, inżyniera Moraczewskiego...) zastąpić inną, stylową budowlą. Dalej temu, właśnie ze stanowiska archeologicznego i estetycznego musiałbym zaprotestować. Archeolog nie pogodził się nigdy z tem, aby Kraków miał być pozbawiony takiej ozdoby, jak ów komin nad odwachem, którego poprostu zazdroszą mam wszyscy obcy, zwiedzający Kraków. Według ich zdania najpierw był ten komin, potem dobudowano doń odwach, a wreszcie i wieżę, przeznaczoną na pomieszczenie pracowni chemika miejskiego w dni targowe. Rozmiary jego świadczą nadto, że dawniej nie brakowało w Krakowie węgla. Także i estetycy byłiby bardzo zmartwieni, gdyby Rynek pozbawiono tej ozdoby, dostosowanej do stylu kamienicy Rajala, w której mieści kawiarnia „Secesja“.

Pan Hosiak proponuje dalej, aby w piwnicy byłego ratusza urządzić winiarnię, na piętrach muzeum miejskiego, z górnych galerii zaś mogły się ciekawie przysłuchiwać bliższym i dalszym okolicom, mogły także rozświetlać stąd widokówki, z czego miasto miałoby nawet pokazywać dochody.

Na winiarnię zgoda, o ile wino będzie w samej rzeczy *Hungarie natum*. Zachodzi przecież obawa, że będzie to wyrub krajowy. Nie godzę się też na odrestaurowanie samej wieży od zewnątrz, gdyż zepsułoby to zupełnie harmonię, jaka panuje między jej odrapanymi murami i „kocimi łbami“, którymi wybrukowany jest nasz Rynek.

Niechaj zatem wieża ratuszowa zostanie sobie taką, jaką jest dotąd. Kto ma ochotę napić się wina, może to uczynić w pierwszej lepszej winiarni, chcący zaś widzieć Tatry, mogą się wybrać na kopiec Kościuszki, stąd można objąć okiem daleko szersze przestrzenie.

Poco zresztą wywoływać wilka z lasu?... Niech tylko ktoś poda projekt jakiej restauracji, zaraz się znajdą dwa obozy, jeden za, drugi przeciw. Tak było ze szpitalem św. Ducha, niedawno zaś z rudą obok kościoła św. Idziego. Archeologowie, historycy i estetycy dość wtedy napuili atramentu, a był on daleko tańszy, niż jest dziś. Gdyby zresztą odrestaurowano wieżę ratuszową, byłoby wskazaniem, aby śmieci i błoto z Rynku zmiatano przynajmniej raz w tygodniu, a to naraziłoby miasto na nadmierne wydatki, na które brak pokrycia w dotychczasowym budżecie, zamkniętym, jak zwykle, deficytem.

Na ten temat mógłbym pisać długo i szeroko, niestety, muszę się liczyć z miejscem, gdyż papier jest wprawdzie cierpliwy, ale nie rozciągliwy, a muszę kilka słów odpowiedzieć Szan. Prenumeratorce z Tarnowa, która w ubiegłym tygodniu nadesłała mi list i to tak obzerany, że stanowczo nie wierzę, jakoby stale brakowało jej czasu.

List ów odezwał się od deski do deski i, kto wie, czy nie płakałbym wraz z nią nad jej kłopotami, gdyby nie to, że towarzyszek niedoli ma więcej, a jedną z nich jest i moja Weronika.

A ona nie pozwala mi płakać nad swym i moim losem, powtarzając stale:

— Bądź zadowolony, że nie jest jeszcze gorzej! Przyznaję jej najzupełniejszą rację, bo i jakie mógłbym być innego niż ona zdania!... Wprawdzie ona przysięgała na posłuszeństwo, jak dotąd jednak, to ona wydaje rozkazy, a ja je spełniam i to bardzo posłusznie.

I ona też obchodzi się bez służącej, tak, jak Szan. Prenumeratorka z Tarnowa, ale to już dziś taka moda. Bo i pocóż żyć dziś służę i być narzonym na jej

grymas, gdy można się bez niej obejść bardzo wygodnie. Dawniej, gdy się gotowało w domu oblady, gdy trzeba było przynieść węgli w piwnicy, tego, lub owego z miasta, nie obeszło się bez służki, dzisiaj to przecież odpadło wszystko. Nauzyliśmy się obchodzić bez wszystkiego i po wojnie, gdy nastaną normalne stosunki, będziemy to mieli „jak znalazł“. Co drugi, lub druga, będzie milionerem!

Radzę zatem i Szan. Prenumeratorkę pogodzić się z losem, który jest wprawdzie garbaty, ale nie ulega kwestyi, że się jeszcze wyprostuje. Jeżeli nie zaraz, to może zaraz potem. Pocóż się zresztą kłopotać i jeszcze cięższym robić swe życie, gdy koniecznie świat już za pasem?... Choćbyśmy zresztą narzekali, nie wiem jak głośno i rzewnie, czy się to zda na co?... Trzeba pamiętać o tem, co powiedział nasz pan fizyk, że „mimo przeciwności nie upadaj na ducha“. A musiał mieć rację, gdyż inaczej nie byłby został ministrem i to do tego zdrowia!

Co do owych zaś amerykańskich darów dla dzieci na co Szan. Prenumeratorka narzeka, nie może kronikarz dać żadnego wyjaśnienia, gdyż dotąd nie miał sposobności spotkać się z nimi, jako, iż nie posiadał potomstwa w tym wieku, aby mógł się dla niego ubiegać o makę, biały cukier, lub mleko kondensowane. Mogł, co prawda, należeć do komitetu zajmującego się ich rozdawnictwem, ale się spóźnił. Wszystkie miejsca były już zajęte, gdy on ofiarował swą współpracę i... podział łupów.

Aby zresztą być członkiem jakiegoś dobroczynnego komitetu, trzeba mieć do tego specjalną zdolność i... szczęście. Szczęście, by się tam dostać, a zdolność, aby na tam wyjść jak najlepiej, to jest, trzymając się zasady: „Niech nie wie prawica, co bierze lewica“ — albo „Najpierw ja, potem reszta!“...

Ostatecznie można byłoby się z tem pogodzić, że ktoś, ofiarując swe siły, zdrowie i czas, każe sobie za to płacić, ale znów z drugiej strony dziwnie bardzo wygląda współpraca tych osób, zajmujących się dobroczynnością rzekomo dla idei, a w gruncie rzeczy robiących sobie z niej bardzo popłatne rzemiosło. I nie zaprzeczy chyba nikt, że u nas sporo jednostek, jako jedyne źródło swego dochodu obrało sobie pracę w rozmaitych rodzaju komitetach dobroczynnych, urządzaniu dni kwiatka, loteryi fantowych i t. d. Pamiętają przytem nie tylko o sobie, ale i o swych najbliższych.

Ilekrót zdarzyło mi się próbować szczęścia na loteryi fantowej, tyle razy przekonałem się, że mam pecha. Mogłem kupić nawet i setkę losów, a z pewnością nie wygrałbym nic. Natomiast moja Weronika, nabywając choćby tylko jeden los, była pewna, że wygra, wiedziała bowiem, że „ręka rękę myje“ i udawała się we właściwym kierunku, zapewnijając, że i ona się przy sposobności odwdzięczy. Byłem sam raz świadkiem jej szczęścia. Kupiła los za szóstkę, zapowiadając sprzedającej pani, iż ogromnie byłaby zadowolona, „gdyby tak wygrała zająca, bo na niedzielę spodziewa się gości. Tamta własnoręcznie wyciągnęła los... z szuflady, naturalnie „pełny“. Pokazało się, jednak, że wygraną na ten numer stanowił stoik musztardy. Poradzono sobie przecież, aby Weronice nie robić zawodu. Zmieniono naprędce numery, twierdząc, że to pomyłka i cokolwiek moja połowica wróciła z zającem z „polowania“, zapewniając solennie, że i ona się odwdzięczy swej przyjaźni przy najbliższej sposobności.

Tak było zawsze, tak jest i tak będzie, jak dingo będą latnić komitety dobroczynne, loterye fantowe i tym podobne przedsiębiorstwa, kańczące się często taktem fiaskiem, jak ów festym w Warszawie na dochód polskich żołnierzy. Przyniósł on dochodu trzydzieści tysięcy marek, ale wydatki komitetu wynosiły ponad czterdzieści.

I z ewymi darami amerykańskimi dzieje się tak samo. Najpierw w drodze narazone są na wielkie niebezpieczeństwo i najczęściej nie dochodzą na miejsce przeznaczenia, jeśli zaś dają, to dopiero kłopot, co z nimi zrobić, albowiem „wielu jest wezwanych, a mało wybranych“, a trudno wszystkich obdzielić w tej mierze, aby mieli dość.

Komitety rozdzielczy dba więc w pierwszym rzędzie o siebie, potem o swoich, w rezultacie pokazuje się, że dla tych, dla których owe dary były przeznaczone, nie nie zostało. Czasem zlitują się nad komitetem złodzieje i skradną tę resztę, jaka jeszcze została.

Tak było w Krakowie z materiałami odzieżowymi, nadesłanymi z Ameryki, nie inaczej dzieje się na prowincyi z maką, cukrem i makiem dla dzieci. Są to artykuły bardzo pożądane nie tylko dla dzieci, ale i dla starszych, lubiących dobrze i smacznie zjeść, zwłaszcza, jeśli to nie nie kosztuje.

